

Księga gości. Rozmyślenia o wolności (fragmenty)

Przełożył Daniel Warmuz

Byłem wczoraj na badaniach w klinice. Ile mi jeszcze zostało? Najrozsądniej przygotować się na niewiele. Dwóch moich przyjaciół ma raka prostaty, zastanawiają się, czy laserowo usunąć guza, czy poddać się chemioterapii. Chcieliby jeszcze trochę nacieszyć się życiem.

Mógłbym przyzwyczać się do myśli, że po raz ostatni gaszę nocną lampkę, ale może nadarzy się jeszcze niewielkie odroczenie. W moich książkach można poczuć, zobaczyć i przeczytać kilka powiązanych ze sobą prywatnych urojeń.

Kariera mnie nie interesowała, środowisko akademickie również nie było pociągające. Miasto i umarli zatrzymują mnie, ale zarówno tu, jak i tam są moje dzieci, wnuki, czasem się spotykamy. Obserwowałem żółty tramwaj: na stopniach stała dziewczynka, warkocz sięgał jej do pośladków. W ławce w szkole podstawowej dwiema garściami łąpałem gruby, lśniący, czarny warkocz Baby. Kiedy Baba odchyłała głowę do tyłu, całowałem pachnący przedziałek. Skóra na czaszce Baby też była mięsista. Nie mogłem zdecydować, czyje uda podobały mi się bardziej, Baby czy lcy, jedne były grube i silne, drugie smukłe. Z trzema kobietami żyłem dłużej niż rok w małżeństwie, w łóżku, przy jednym stole. Trzy żony to nie tak wiele. I jeszcze te, z którymi się nie ożeniłem. O miłości mogę wiedzieć tylko to, czego nauczyły mnie te małżeństwa i kilka dłuższych relacji. Przedstawiałem te kobiety jako partnerki, a inni traktowali mnie jako zajętego mężczyznę. Łączyło mnie z tymi kobietami przymierze. Z dwiema z nich rozwiodłem się, z trzecią jestem już od dawna.

Przecucie zanikania mojego „ja” i „nie-ja” to religijna lub miłosna mistyka. Lecz nasza odrębność to niemożliwy do przezwyciężenia fakt, przybliżamy się, to znów oddalamy od siebie. To nie całkiem w porządku ze strony partnera, jeśli usiłuje być świadom wszystkiego. Małżeństwo jest długim ciągiem wyborów, codziennie decyduję, że to ona jest najważniejsza i że zrobię dla niej wszystko. W małżeństwie człowiek żyje z najlepszą dla niego osobą.

Nie ten będzie zazdrosny, kogo zdradzą, ale ten będzie zdradzony, kto jest zazdrosny. Zawsze gust decyduje, co stanowi przekroczenie lub zachowanie granicy moralności,

co jest tym, czego można się spodziewać i czego nie da się pociągnąć do odpowiedzialności, ale co zachęca do improwizowania. Nie dlatego jesteś zazdrosny, że wyprowadziło cię z równowagi wahanie drugiej osoby, ale dlatego, że chcesz upewnić się w miłości i zwiększyć poczucie własnej godności. Składanie ofiar obcym bóstwom budzi taki sam wstręt bogów, jak i nasz. Ale dlaczego człowiek chce być bożkiem? W rzeczywistości nie jesteś niezastąpiony i jedyny w swoim rodzaju, a wmawiasz sobie, że dla ukochanej osoby jesteś wyjątkowy. Niekiedy tak bywa, przez krótki czas, ewentualnie do godziny waszej śmierci. Nosisz w sobie wszystkie dawne zakochane „ja”, nie potrafisz i tak naprawdę nie chcesz o nich zapomnieć. Wojna i rewolucja pokazały, że żałoba idzie w parze z ponownym szczęściem małżeńskim. W miłości nie ma szczęścia ten, kto oczekuje od niej wszystkiego. Umysłnie powodujemy zamroczenie naszej świadomości, od nas zależy, czy czujemy do siebie sympatię, czy nie. Pociąg mija małe stacyjki, pędzi między białymi nagrobkami, pomalowanym na biało ogrodzeniem i zielonymi ścianami. Wioski, miasta, horyzontalny sposób widzenia to moi nauczyciele. Ważne rzeczy są obok siebie, przyswoiłem filozofię wsi i osiedli, które wnikają w tkankę krajobrazu. Wkrótce dojadę na stację, gdzie czeka żona z dzieckiem.

*

Moim gościom oferuję miejsce w salonie, na werandzie i ławce w ogrodzie. W ostatnich dziesięcioleciach pomogłem zachować w aktywności kilka myśli i idei. Za ciekawe uważałem zamieszanie i z uwagą śledziłem kicz ostatnich lat. W podejmowaniu decyzji kierowała mną cnota pisarstwa, w każdym razie chciałem w to wierzyć. Swoją drogą, z całą naszą wiedzą jesteśmy na bakier, snujemy się od jednych nieporozumień do następnych, żeglujemy w arce iluzji, co dziś jest piękne, jutro będzie śmieszne. Panuje nieporozumienie, które działa wyjątkowo dobrze, mowa nienawiści w tym kraju, jak nóż wbity w masło. Podobnie jak paranoja, świetnie funkcjonuje jej przeciwieństwo – kicz. Szerszy-węższy punkt widzenia. Byłem w skórze wielu ludzi, rzeczywistość mojego życiorysu zatraciła realizm. Ulegnij rozpadowi, złóż się na nowo i ponownie rozpadnij. Nie miałbym nic przeciwko, gdyby przyszli po mnie w trakcie pisania. Błądząca dusza, zmieniająca się pierwsza osoba, coś na kształt życiorysu, ze wszystkimi tymi, w których moje kołyszące się „ja” ma ochotę zagościć. Spaceruję ulicą, widzę staruszkę i sam jestem staruszką. Rzeczywistość nie jest podmiotem moich zdań, lecz tylko narzędziem. Pragnę eksplozji umysłu oraz długich, słodkich godzin. Urządzam scenę, a kontury widoku zaczynają się żarzyć.

*

W okresie dyktatury przeszedłem na stronę opozycji, przynajmniej tam coś się działo. Jeden z napisanych na maszynie tekstów ukryłem w plastikowym worku w hałdzie węgla. Oglądałem pocatunek przywódców partii i to, jak obdarowani kwiatami biorą na ręce młodych pionierów. Widziałem kobiety w strojach ludowych częstujące chlebem oraz kolumnadę czołgów i rakiet na wojskowej paradzie. Nie żywiłem urazy z powodu niepowetowanej szkody ani zgorzkniałej chęci zemsty przeciw mojemu krajowi lub potężne bloku wschodniego. Nawet jeśli byłbym gotowy pójść na burzliwą demonstrację

i z zaciśniętą pięścią wykrzykiwać hasła, to i tak bym tego nie zrobił. Lecz jeśli zadaliby pytanie, czy mają odejść, wówczas odpowiedziałbym zdecydowanym skinieniem głowy. W szkole nie bałem się wezwania do tablicy, teraz też się nie boję, gdy wchodzę na katedrę. Jeździłem na drugi koniec kontynentu, wygłaszałem wykłady w innych językach, starałem się przed tym o niczym nie myśleć, wypijałem dwie szklanki koniaku, zanurzałem się w chmurze dymu tytoniowego oraz chwytalem się pierwszego zdania gramatwaniny tekstu i jeśli znajdowałem w nim oparcie, dalej prowadziło mnie samo. W toku myślenia nie spieszę się, wybieram okrężną drogę, już prawie wchodzę na cmentarz, ale w ostatniej chwili obieram inny kierunek. Nie lubiłem chodzić do szkoły, stroniłem od zorganizowanych wspólnot i zgietku zgromadzeń, prędko znikałem z domowych przyjęć. Psychiczny dyskomfort powoduje cielesne zmęczenie, ale z najbliższymi członkami rodziny jest inaczej. Chciałem, by moja matka i dzieci byli w pobliżu, nawet jeśli nie poświęcałem im dużo czasu. Widzieć ich i wiedzieć, że mają się dobrze.

W młodości sądziłem, że zadanie polega na byciu węgierskim pisarzem i zajęciu stanowiska obserwatora. Co więcej, na próżno jestem Żydem, naturalnie mówić i pisać potrafię tylko po węgiersku, wszystko inne byłoby wymuszeniem. Z tego względu powinienem być przygotować się na własny fatalizm.

*

W lutym 1945 roku w Berettyóújfalu¹, kiedy dowiedziałem się, że tylko my zostaliśmy przy życiu, a reszta dzieci i kolegów ze szkoły została zamordowana, ogarnęła mnie, czy precyzyjniej rzecz ujmując, utrzymywała się we mnie świadomość grzechu, którą czułem już w dzieciństwie, że coś nie jest w porządku i chyba powinienem się wstydzić, że żyjemy zamożniej od innych. Środowisko przeważnie mi zazdrościło i niemal nikt mnie nie żałował. Lubiałem bawić się samotnie, potrafiłem godzinami siedzieć z pokrywką garnka, którą opierałem pod skosem o kant stołu w jadalni i udawałem, że jadę rozpedzonym autem. Później upłynęło pół stulecia jak nie więcej, na świat przyszło pięcioro moich dzieci, urodziły się wnuki, dbałem o utrzymanie rodziny i starałem się nie naprzykrzać domownikom. Do moich zadań należy dopingowanie i wspieranie ich, choć i tak będą mieć dość problemów, różnych zmartwień, życiowych niepowodzeń, chwil samotności, smutku, poczucia straty, o których rodzice i tak się nie dowiedzą. Mój ojciec zmarł w wieku siedemdziesięciu lat, moja matka dożyła dziewięćdziesięciu dziewięciu. Pierwszy ukłón należy się kobietom, ale mężczyznom chyba też coś się należy. Biedni są ojcowie; kobiety żyją dłużej, a mężczyźni odchodzą wcześniej. Kalecy ojcowie wracający z przymusowych robót i niewoli, powieszeni na szubienicy za zbrodnie wojenne ojcowie, złamani w więzieniu i otępiali od strachu ojcowie. Szpitalny koszmar: otwarte, puste usta. Zgromadzenie ludzkich wraków w sali chorych. Stary kuzyn mojego ojca stracił w połowie wzrok, wyłubali mu jedno oko, słyszał, jak je wycinają, teraz zdrowym podziwia drugie, szklane,

¹ Rodzinna miejscowość Konrada położona we wschodnich Węgrzech, w pobliżu granicy z Rumunią.

jest za nie wdzięczny i chwali lekarza. Ojciec odszedł w ciszy, matka była przy nim do końca. Później straciła też przyjaciółki.

*

Wujka Marciego umieszczają na podłodze w korytarzu, leży tam dwa dni, nieprzytomnie wzywa swoją matkę, w tym czasie mój kuzyn, spadkobierca, swoją drogą bogaty człowiek, idzie do jego mieszkania i przeszukuje meble. Wujcio musi mieć pieniądze, niepokoi się, że ich nie dostanie. Jest ordynatorem w tym samym szpitalu, ale nie ma czasu zając się starym krewnym.

Był tu wujek Jutki z Paryża, fabrykant, inteligentny człowiek, noszący aparat słuchowy amator cygar, którego czwórka dzieci założyła już rodziny. O jednej ze swoich wnuczek mówi, że jest śliczna, ale nic nie warta, bo nie ma ani krzty ambicji. O drugiej mówi to samo. Jest jeszcze dwoje dzieci, o których mówi, że są silne, patrzy na nie jak na źrebęta w stajni. Jeśli brakuje *cadre de vie*, to nie jest nic warte.

Ludzie w podeszłym wieku często rozmawiają o tych, co odeszli, bo wokół nich nie pozostał już nikt. Jeśli ktoś tylko przeprowadził się daleko, czym różni się od tego, co zmarł albo jeszcze żyje, ale nigdy nie przychodzi?

Matka powiedziała, że jej najukochańsza siostra była tu niedawno, choć sześćdziesiąt lat temu zamordowano ją w Auschwitz, ale gdy przypomniałem to dziewięćdziesięciosiedmioletniej kobiecie, nie chciała przyjąć tego do wiadomości, pamiętała bardziej odwiedzić swęj siostry.

*

W jaki sposób ludziom potrzebna jest pamięć? W taki, jak ruch potrzebny jest nogom. Bez niego zanikną. Kto nie pamięta, cierpi na zanik świadomości, nie używa jakiegoś organu, bez którego inne nie działają jak należy. Pamięć potrzebna jest gdziekolwiek, w jakimkolwiek usypiającym środowisku znajdzie się człowiek, bo zawsze może się wyrwać i zabawić samego siebie. Pamiętanie jest ludzkie. Natura jest obojętna względem historii. Trawa na cmentarzu jest tak samo zielona jak rosnąca wszędzie indziej. Natura nie nosi żałoby i nie występuje w charakterze świadka. Pamiętanie jest działaniem przeciw naturze i śmierci. Pamiętanie jest ze strony człowieka taką samą zuchwałością jak rozpalenie ognia.

*

Na początku tygodnia zostałem zaproszony do wsi Zalabaksa, żeby wygłosić mowę o Danilo Kiżu, który uczęszczał do miejscowej szkoły podstawowej. Jej uczniów ustawili w szeregu przed budynkiem, kilku dorosłych stało na skraju. Młodzieży spodobało się, że Danilo był sporym gałganem. Spore łobuziaki tręcały się łokciami, że któryś z nich również zostanie sławnym pisarzem. Później odstonięto tablicę pamiątkową. Burmistrz ofiarował mi wytłoczony na zimno olej z pestek dyni, podobno pomaga na dolegliwości z prostatą, dodał.

Kiedy za granicą, powiedzmy w Ann Arbor lub w Lizbonie, dojechałem z lotniska do hotelu i wypakowałem rzeczy w pokoju, schodziłem do baru i kierowałem się prosto do środka ciężkości, tam, gdzie siedział Danilo. Na miejscu były wszystkie rekwizyty, których nie mogło zabraknąć, whisky i papierosy Gauloises, a w pobliżu jakaś przykuwająca wzrok kobieta, którą Danilo obserwował, że tak powiem, z okopu. O świcie, gdy zamykano już bar, Danilo w dalszym ciągu stanowił środek ciężkości. O czymś powiedział, że to świństwo, brzmiało to znajomo i cieszyło mnie, jak bardzo dobrze potrafił to powiedzieć, robiąc w powietrzu zamach długimi palcami, jakby odbijał piłkę tenisową. Pianista grał świetny kawałek, *Gwiazdy spadają nad Alabamą*. Zgodziliśmy się, że dzień bez wieczornej rozrywki jest diabła wart. Danilo również podobał się pogląd Gogola, że diabeł jest trywialną, zupełnie nieromantyczną postacią.

*

Wypijam kieliszek za wszystkie te kobiety i tych mężczyzn, dzięki którym doświadczamy porządku wolności. Zastfony powiewają na wietrze, okno jest otwarte, lato dokazuje na całego. Odpowiedzią Danilo na oferty rozwiązań był sceptycyzm, nie wierzył, by ludzkie problemy dało się lub należało rozwiązać. Musimy je znosić, cieszyć się nimi i smucić z ich powodu. Przyjacielski egoizm, kłopoty są wytrwałe i poczekają. Danilo lubił dzieci, ale sam był dzieckiem, którym należało się zajmować. Był chłopcem, nie ojcem, ja zaś raczej tym drugim. Mieszkaliśmy obok siebie w Jerozolimie, w domu dla artystów Mishkenot Sha'ananim, już nie pamiętam, kto postarał się o zaproszenia, chyba Herbert Pundik, redaktor duńskiego *Politiken*. A może ktoś z Ameryki? Widzę siebie, siedzącego przy urzędowym biurku w Nowym Jorku, wydaje mi się, że w siedzibie Jerusalem Fund, byłem wówczas już na tyle znaną, a politycznie dość pożądaną osobą, żeby prócz mnie zaprosili też Danilo. Był trochę zmęczony i ostrożny, przeszedł jakąś operację nosa, słabiej błyszczały mu oczy i może był nieco urażony, że ja chadzałem własnymi ścieżkami, a popołudniami siadałem do notatek. On raczej leżał, czytał, lecz później oblegli go jugosłowiańscy Żydzi, zabrali do kibuców, do starszych kobiet, które mieszkaly w obozie dla internowanych na Nagiej Wyspie², skąd jakimś sposobem trafiły do Izraela. Każdy chciał opowiedzieć swoją przejmującą historię, podczas gdy Danilo marzył o powrocie do Dubrownika, bo raczej stronił od dzisiejszych ludzi. Spacerowaliśmy po starym mieście, niezbyt długo, żeby się nie zmęczył, był bardziej oziębły, jego wzrok nie wędrował dookoła jak w moim przypadku. Widok mużułmańskich kupców i kawiarzy nie był dlań niczym nowym, widział to już w Bośni. Islam na Bałkanach jest banalniejszy niż w Budapeszcie.

Odkąd wśród południowych Słowian szerzył się nacjonalizm, znacznie częściej dostrzegali w nim Żyda. *Nie da się z nimi rozmawiać, po pół godzinie i dwóch kieliszkach odtwarzają tę samą płytę. Wówczas wracam do domu czytać. Wszyscy oszaleli*

² Goli otok – wyspa w zachodniej części Chorwacji, na której od 1949 roku funkcjonował obóz dla więźniów politycznych.

i powtarzają to samo. Nikt nie jest specjalnie zły, nie są też dobrzy, zajmuje ich wzajemna nienawiść. Nie potrafią bez niej żyć. U was też jest sporo świń, ale przynajmniej nie zabijacie się nawzajem. Tutejsze świny są dzikie, niepohamowane, prędzej czy później strzelają do siebie nawzajem i nie uspokoją się, dopóki nie zapełnią po brzegi cmentarzy.

Jesienią 1989 roku odłożył pióro, bał się, że dzieje się to naprawdę. Choć był na to gotowy, został zaskoczony. W takiej sytuacji książki się nie liczą. Ale oglądał serwis informacyjny, rozmawiał o sprawach. Sprawy są potrzebne, potrzebny jest temat do rozmów, choćby turniej tenisowy. Kto jest świadom śmiertelności, tego niewiele rzeczy wprowadza z równowagi, nie licząc cielesnych utrapień.

*

Niniejszą książkę polecam pamięci mego rówieśnika i kuzyna Istvána Zádora oraz Danilo Kiša, bo któregoś dnia, grzebiąc w kasetach magnetofonowych, natrafiłem przypadkiem na nagranie ich głosów. Zamiast muzyki zabrzmiał lekko zachrypnięty, silny, męski głos, który gwałtownie powiedział: „świństwo”. Cały Danilo! Później jakbym słyszał siebie, ale znacznie młodszego, mówiącego o okolicznościach poprzedzających rewolucję 1956 roku, o czym nie potrafiłbym tak rozsądnie mówić. To był głos mego kuzyna. Sporządzone przez jego przyjaciół nagranie pochodziło z 1959 roku, z jego wykładu wygłoszonego w Londynie. Pół roku później István popełnił samobójstwo. Wschodnioeuropejskie losy, które zaczynają się w węgierskich wioskach, dwóch ludzi, których ojców zamordowano tylko dlatego, że byli Żydami. István zmarł w Oxfordzie, Danilo w Paryżu. Dźwigali ze sobą region, z którego pochodzili.

*

Podczas spaceru migawki 1945 roku: budapeszteńskie ruiny, spalone, zrównane z ziemią, zbombardowane lub podziurawione pociskami domy, ślepe mury. W parkach, na placach, wszędzie tam, gdzie dało się kopać, były niedawno pogrzebane zwłoki. W pierwszych dniach wszędzie je wykopywano i zawożono taczkami na któryś z nowych cmentarzy. Jeden z nich, skrywający wycinek ostatniego roku wojny, był w pobliżu mego biura. Często tam chodziłem w latach siedemdziesiątych, przesiadywałem na szerokich kamieniach, czytałem i patrzyłem na staruszki, których mężowie spoczywają pod ziemią.

*

Mieszkałem w wynajętym przez zakład pracy wiejskim domu, do którego można było zajrzeć przez okna. Często wyobrażałem sobie, że ktoś ma mnie na muszce. Żeby nie wzięli mnie zaskoczenia, obok łózka trzymałem siekiere. Zamykałem się od wewnątrz i jeśli ktoś pukał, szybko wrzucałem leżące przede mną papiery do niezbyt skomplikowanej kryjówki. Pod rozkładanym biurkiem była szczelina, która nie miała z boku szuflady na klamkę i tylko wówczas było ją widać, gdy podniosło się

blat stołu. Dlaczego mieliby go nie podnieść? Zaiste. Ale przeprowadzający rewizję nie odkryli schowka, muszą powiedzieć, że było to dobre miejsce, tak samo jak zakopana w stosie węgla plastikowa torebka. W nowym pokoju zawsze patrzyłem, czy można z niego uciec i szukałem jakiejś skrytki. Kiedy wypuścili mnie z aresztu, próbowałem na nowo zaprzyjaźnić się z Budapesztem, stałem na obniżających się ruchomych schodach w metrze, patrzyłem na wjeżdżających w przeciwnym kierunku pasażerów, zastanawiałem się, który z nich by się nie poddał.

W latach sześćdziesiątych, jako socjolog Instytutu Planowania i Rozwoju Miast, la-
tałem co tydzień do Pécsu. O ósmej wychodziłem z bramy budapeszteńskiego domu,
a o dziesiątej zajmowałem stałe miejsce w kawiarni Nádor w Pécsu, gdzie napisa-
łem całkiem sporo stron powieści *Gość*. Często włóczyłem się po mieście z przyjaciel-
em i współpracownikiem Ivánem Szelényim³. Dobrze czułem się w Pécsu, czytałem
z jego przeszłości, przeglądałem jego stare gazety, jadłem kolację z wieloma miesz-
kańcami, a bałkańskie uliczki na Zidinie i Puturluce, to jest w budańskiej części mia-
sta, czarowały mnie mitologią. Uwielbiałem przejrzystość, z jaką widziałem wszystko
ze szczytu Tettye. Okolice ulicy Magaslati były takie, jak budapeszteńskie Różane Wzgórze⁴,
dzielnica Úránváros była klasycznym osiedlem mieszkalnym, ulica Królewska⁵ (wówczas
Kossutha) była jednym z najprawdziwszych deptaków węgierskich miast, a właściwie du-
żych miasteczek, tak samo jak Plac Széchenyiego był czarujący i jedyny w swoim rodzaju,
pozostając takim po dziś dzień. W życiu Pécsu jest jakaś trwałość, skromna rozkosz. W cza-
sie festiwalu teatralnego labirynt garkuchni i winiarni na ujmujących placach gromadzi
przy stołach młodzież i gości. Zaplanowana książka nie powstała. Czemu? Na pytanie,
które prowokuje więcej odpowiedzi, lepiej w ogóle nic nie odpowiadać i tylko wymam-
rotać, że nie szło pisanie. Ówczesna miłość nie sprzyjała pracy.

Zatem pierwsza płaszczyzna należy do widoków, do opisu, który musi połączyć się
z wymiarem czasowym, z historią miasta, układającą się warstwami cywilizacją, zamknię-
tym rozdziałem ludzkiej przeszłości, tak jak powstawała ta dynamiczna, uformowana,
proporcjonalna, wyraźna, a jednak nieprzenikniona jedność. Chciałbym w tej książce
osiągnąć poziom transindywidualnego pisarstwa, kształtowanie się historyczno-prze-
strzenne, tę mozolną, cichą pracę, w ramach której cywilizacja pochłania historyczne
kataklizmy, tragedie jednostek, wariactwa, niepozorne działania, gesty zakładania gniaz-
da, sytuuje je na kartach anonimowej historii i powołuje siebie na nowo do istnienia.
Zaliczyłbym do tego też odbitki współczesności, gazety, napisy na nagrobkach, dyplomy
uznania i tablice pamiątkowe, zbiór wypisów z kroniki skandalów dwudziestego wieku.

³ Iván Szelényi (ur. 1938) – węgierski socjolog, członek Węgierskiej Akademii Nauk, światowej sławy badacz
socjologii miejskiej oraz problemów strukturalnych społeczeństwa socjalistycznego i kapitalistycznego. Mieszka
i wykłada na uniwersytecie w Stanach Zjednoczonych.

⁴ Rózsadomb.

⁵ Király utca.

Co tydzień jeżdżę do Pécsu, czasem z Ivánem, czasem sam, wywiady, prasa, radio, wyznaczony czas, teraz rozmawiam z tym, za godzinę z tamtym, po południu znów z kimś innym, w trakcie przygotowanie nagrania. Przeważnie towarzyszy mi Klára, miejscowa organizatorka, którą ucieszyłoby, gdybym pokochał jej miasto, pokazuje mi małe dziedzińce, zaułki, podejrzane lokale i bary złotej młodzieży, zna tu wszystkich, komentuje, opowiada. Otacza mnie ostrożne, uległe, sterane przez bieg historii, prowincjonalne miasteczko. Jeśli chcesz widzieć wielką scenę, gdzie dochodzi do starcia religii i filozofii, masz prawo sięgać wzrokiem dalej, niż wskazuje przewodniczący rady narodowej. W tym mieście możesz przygotować wywiady z dawnymi i nowymi bohaterami, możesz zadać pytanie dowolnej postaci historycznej. Naukowe sprawozdanie o Pécsu sporządzone dla Instytutu mogłoby być trampoliną, punktem wyjścia do napisania powieści. Tak doszliśmy do świata szans, możliwości, eksperymentalnych koncepcji, bo bez celów, fantazji, dzikich i olśniewających wyobrażeń nie ma miasta. Tworzę film, łączę ze sobą zdjęcia i myśli, robię próbę, odrzucam, gram, rezygnuję, mam dość. Zatem samotna manipulacja jest podstawowym materiałem mojej książki.

Jakie filozoficzne pytanie niesie ze sobą ta procesja? Błaznujący Panteon. Staroświeckie, preromantyczne pytanie pana Rousseau: *Czy ludzkość zrobiła krok naprzód? Później romantyczna widowówka: Dusza między śmiercią a poświęceniem za cenę wszystkiego.* Wahadło między narodzinami i myślą o odejściu, między zwątpieniem a zmartwychwstaniem zbawiciela lub ideą odnalezienia drogi do domu. Spacerujemy po placu Széchenyiego, turecki sułtan zajmuje miejsce w meczecie, w kaplicy na szczycie Havihegy znów toczy się religijna dysputa, ponownie urządzają tam śluby i modlą się za zmarłych. Wraz z upływem czasu wykopują z ziemi kości i sprzedają nowe miejsca pochówku. W mieście trwa festiwal teatralny i Pécs też możemy wyobrazić sobie jako wielką scenę. Na placu przed katedrą można by wystawić misterium. Wśród rzeźb z kamienia na podwórku Galerii Sztuki Współczesnej działa kawiarniany ogródek, na ławkach siedzą dawni mistrzowie, a w małej sali przed portretem palacza opium rozmawiamy z Gulácsym⁶. Oto katedra, uniwersytet, restauracje, jakaś wąska uliczka, dawne getto i niedysyjszy dom publiczny, boisko do piłki nożnej, dworzec kolejowy, centrum handlowe, dzielnica cygańska, więzienie, do którego okratowanych okien można zajrzeć z niewielkiej ulicy, sąd, komenda policji i urząd bezpieczeństwa państwa na ulicy Lég-szeszgyár. Niech zatem powstanie książka o mieście, które istniało już dwa tysiące lat temu. Potrzebam głową zupełnie jak kalejdoskopem i odłamki szkła, kawałki metali i strzępy papieru, którymi obracam w cylindrze przed oczami, nagle scalają się w zagadkowy sposób i tworzą nową, wcześniej nieznaną fikcyjną rzeczywistość. Nie mam żadnego celu, kiedy jakiś się pojawia, trafiam go jak na strzelnicę. Chodzę wolnym krokiem, nie interesuje mnie posuwanie się naprzód, moim powołaniem jest bycie przechodniem, przechodzień jest emblematem miasta. Byłem już dorosły, kiedy trafiłem tu pierwszy raz,

⁶ Lajos Gulácsy (1882–1932) – malarz, reprezentant węgierskiej odmiany prerafaelityzmu.

to miasto nie budzi żadnych bolesnych wspomnień. Dla pochodzącego zza Cisy człowieka teren zadunajski był dobry, bajeczny, jak z kart powieści.

Lipiec 1966. Byłem dwa dni w Pécsu. Lecieliśmy w słońcu, z przeciwka wiał południowy wiatr. Trzęsto pionowo maszyną, czułem się, jakbym stał w szybkiej windzie, mój żołądek unosił się i opadał. Obok pochylonych skrzydeł ciągnęły się drogi, regularne kwadraty pól, oznaczenia sporządzone przez geodetów, goła, płaska figura, w przeważającej mierze kanty, sensowne, odzwierciedlające rzeźbę terenu łuki, kamieniołomy, kopalnie piasku, leśniczówki, aluminiowe cysterny, mądrze rozmieszczone zadunajskie osiedla, gęste lasy, migoczące rzeki i jeziora, kanały, ocienione stawy, wesoła jednolitość. Gdy przejrzałem już gazetę i pooglądałem współpasażerów, zapadałem w drzemkę, lot samolotem niewiele się różni od podróży tramwajem. Zajmowałem tylne siedzenie z dobrym widokiem, a na określonym mianem lotniska pastwisku, wśród gęgającego drobiu witał mnie znajomy śniady pracownik bez jednej ręki, który stanowi całą załogę. Później widok zza szyby autobusu, cmentarz, zakład garbarski, szklarnie, wszystko czekające na swoją kolej w skrytkach pamięci. Chcę pisać o tym mieście także poza służbowymi zadaniami, socjologia osiedli to dobra okazja i pretekst do poznania innych ludzi. Zmieszam obraz tego miasta z innymi, zbuduję wyobrażone miasto z mapą, instytucjami, zabytkami, górami, rzekami i podzielonym na warstwy, widzianym z boku społeczeństwem. Nie planuję socjografii ani reportażu czy też scen z życia prowincji w stylu Balzaca. A jednak całość ma mieć podwójną, poszerzoną perspektywę. Jedną z nich będzie przestrzeń: od katedry po cmentarz dla zwierząt, od osiedli górniczych i górskich kaplic po rynek i zatłoczone ulice w centrum, iskające się przed hotelem gołębie i poetów pijących piwo w kawiarni.

Pécs jest tyleż małym, ile dużym miastem. Wszystkie miasta są równocześnie małe i duże, kiedy chcesz je obejść w podeszłym wieku. Rzadko korzystałem ze swoich zdolności, mało czytałem, nawet nie zakładałem garnituru. Raczej staram się podejść wystarczająco blisko lub pozwolić, by zbliżono się do mnie. Przy sąsiednim stoliku pewien tysy rekin giełdowy rozwiązuje krzyżówkę. Titanilla, miejscowa piosenkarka o światowej sławie czaruje go swoimi długimi nogami, które opiera o moje krzesło. RzUCA pyszałkowane spojrzenie na kobietę, która z dwójką dzieci i zakupami zmierza w kierunku kolejnego punktu domowych obowiązków. Dziewczęta marzą o stawie, ona jest już gwiazdą, uważa za naturalne, że wszyscy patrzą na nią z uwielbieniem. Czerwony samochód prowadzi tajemnicza Murzynka, postać z innego świata. Po drugiej stronie granicznej rzeki jest wyspa marzeń. Wycinam i nakładam na siebie czasy historyczne i niemal wszystko, co widzę w przedniej i tylnej szybie auta. Miasto jest sceną, nie jestem bohaterem zdarzenia, a tylko reporterem. Nie muszę się spieszyć, wszystko przyjdzie w swoim czasie. Ale powiedzcie, czemu chcecie być w centrum uwagi? Żeby podziwiały was tłumy? Dyskretna rzadkość to też powód do dumy. Kruche samopoczucie szuka wsparcia, motywacji, czułości. W tej zacienionej, wietrznej gospodzie zadowolone pary spożywają obiad.

*

Modne stało się częste używanie słowa „tożsamość”. Istota tożsamości to, myślę, brak tożsamości z innymi. Zarówno względem prawa, jak i wobec Boga wszyscy jesteśmy równi, szkoda więc naszej istoty szukać w odróżnianiu samego siebie. Człowiek, który poza stosowną granicą jest zadowolony z samego siebie, jest, estetycznie rzecz ujmując, nieszczęśliwym zjawiskiem. Jeśli nie jest do niczego zmuszany, to przynależy do wielu rzeczy. Naród wówczas się urzeczywistni, gdy nie wyznanie, a osoba i część życiorysu wyróżni nas na tle innych. Stoi za tym moja rodzinna i społeczna pozycja, mój fach, różnego rodzaju przekonania, namiętności, wspomnienia. Błędem byłoby ustalenie ich w hierarchii. W imię tożsamości człowieka nie należy niczego pozbawiać. Zadowolmy się tym, że wszyscy kochamy to, co swoje, że jesteśmy lokalistami i dajemy pierwszeństwo swojej wspólnotce, zaś ziemski glob należy do zachłannych, ciekawskich i nienasyconych wiedzy hedonistów.

*

W październiku 1956 roku Kalligaro, świeżo upieczony absolwent studiów pedagogicznych, leżał przystońnięty pomnikiem na placu przed parlamentem. Odlany z brzozy koń i cokół przyjęły serię pocisków. Na brzegu Dunaju po budańskiej stronie schował się z przyjacielem do skrzyń wypełnionych piaskiem. Zajrzeli do tej, w której był ten drugi. Podnieśli wieko i strzelili do środka. Przyjaciel zginął na miejscu. Rosyjski żołnierz nie miał ochoty strzelać jeszcze do jego studenta. Młody nauczyciel mógł zostać w domu ze swoimi książkami. Czego szukał za ostrzeliwanym pomnikiem konia? W artystycznym klubie Kalligaro spotkał się z dawnym kolegą ze szkoły, który w grudniu 1944 roku związany sznurem ze swoim ojcem stał na brzegu Dunaju⁷. Pociski strzałokrzyżowców trafiły obydwóm, ojciec dostał w pierś, syna postrzelono jedynie w ramię. Próbowali utrzymać się na wodzie, ale starszy mężczyzna osłabł i odchylił się do tyłu. Synowi udało się wyswobodzić z więzów. Puścił ojca, ale śledził go wzrokiem. Widział, jak kry spychają na środek rzeki leżącego na plecach tatę, który uśmiechał się jak ktoś, kto spogląda z okna odjeżdżającego pociągu.

*

Przełomowe wydarzenia 1989 roku w Pradze były jak z bajki. Nielubianego Gustava Hušaka zastąpił na urządzie prezydenta lubiany Václav Havel. Siedemdziesiąt lat wcześniej inny czeski myśliciel, Tomáš Masaryk, ustanowił liberalno-demokratyczną republikę. W tym cudownym 1989 roku jeszcze jeden uznany na świecie czeski klasyk wraz z przyjaciółmi przywrócił demokrację i odnowił republikę. Metafora króla-filozofa znów stała się modna. Na Moście Karola widzieliśmy na koszulkach ładnych dziewcząt namalowaną spokojną, uśmiechającą się twarz mężczyzny, któremu sprawiedliwość dziejowa przywróciła wolność, aby w zamku prezydenckim na Hradczanach uosobić wolność Czechów. Havel na hrad! – to hasło było wszędzie. Na początku jesieni opozycyjni pisarze jeszcze nie wierzyli, że może się to wydarzyć, a na początku nowego roku już naturalne było,

⁷ W 1944 i 1945 roku nad Dunajem w Budapeszcie doszło do egzekucji setek węgierskich Żydów, po których na brzegu zostały jedynie buty.

że jeśli prezydent odwiedzał Bratysławę, to zabierał ze sobą flagę, aby towarzyszyła jego wizycie. Swoją energią i sposobem myślenia wyróżniał się na tle przywódców innych państw, zapraszano go wszędzie, a tam, gdzie się pojawiał, cieszył się ogólnym szacunkiem. Spotkaliśmy się po raz pierwszy czterdzieści lat temu, jego szczerzy uśmiech, głęboki, mruczący głos i refleksyjny humor przykuwały uwagę. W styczniu dziewięćdziesiątego roku z żoną i w towarzystwie Adama Michnika odwiedziłem prezydenta Havla. Mogliśmy go zobaczyć w trakcie pracy w zamkowej piwiarni. Gawędził z nami w towarzystwie długowłosych, wesołych artystów, świeżo mianowanych ministrów. W urwisowski sposób chlubił się: Widzicie? Kufel prezydenta jest o dwa palce wyższy od pozostałych. Kufel rzeczywiście był wyższy, ale Havel rzadko po niego sięgał. Podstawiali mu dokumenty: Vašek, to się nadaje, możesz podpisać. A on uważnie czytał, robił niewielkie notatki. Pasowała do niego rola, odgrywał ją z pogodnie poważną pokorą. Nieco kręciło mu się w głowie od zawirowań, ale znosił to z poświęceniem i refleksyjną dostojanością. Swoją los poznał, będąc pisarzem i mistrzem dramatu absurdu, i to doprawdy zaskakujące, że nieco wcześniej jego dom stanowiła separotka, a wśród nowych ochroniarzy mógł rozpoznać dawnych strażników.

Kiedy nastąpił rozpad Czechosłowacji, co Havel przyjął ze smutkiem, złożył urząd czechosłowackiego prezydenta i w okresie interregnum odwiedził Budapeszt. Przyjacielski protokół pozwolił, żebyśmy zjedli śniadanie w rządowym domu gościnnym. Chciałem go namówić, by wrócił do pisania. Na fali politycznych wydarzeń zrobił, co potrafił najlepiej, teraz jednak niech zajmie się sztuką, a polityka pozostanie działką polityków. Oprócz pisarskiego egoizmu jest jeszcze obowiązek, nasz gość uśmiechnął się pobłażliwym wzrokiem, wielu oczekuje, że będzie nadal prezydentem, choć już tylko Czechów. Stońce wypełniło pokój, wszyscy mają swoje zadanie do wykonania, ja wróciłem do mojego gabinetu, a on udał się z wizytą do kolegi, Árpáda Göncza, węgierskiego prezydenta. Miał interesujące, intensywne życie, możliwe, że jedną minutę, ale nie dłużej, zazdrościliśmy sobie wzajemnie. W moich oczach był ucieleśnieniem trzeźwej i odpowiedzialnej polityki europejskiej. Niejednokrotnie podpisywaliśmy ten sam manifest. Skoro on tak myśli, znaczy, że tak jest dobrze – podpowiadał mi wewnętrzny głos. W towarzystwie Gábora Demszkyego, burmistrza Budapesztu i ówczesnego wydawcy z podziemia, odwiedziłem prezydenta Republiki Czeskiej, który osłabiony, w kręgu przyjaznych współpracownic, odpoczywał w starym domu na jednej z praskich uliczek. Cieszyły go jego dawne węgierskojęzyczne samizdaty, owoce odważnej i pilnej pracy. Z pochyloną głową mówił przed siebie, był tym samym pogodnym, elokwentnym i nieco melancholijnym człowiekiem, co zawsze. Gdy przyszedłem, zauważyłem w bramie, że na miedzianej tabliczce z jego nazwiskiem ktoś damską szminką namalował serduszko. Prawidłowo, pomyślałem.

*

Zapraszam do stołu Adama Michnika. Dlaczego akurat jego? Pomyślałem, że tę flaszkę wódki byłoby dobrze wypić razem z nim. Bo nie da się go zlekceważyć

i ma naturalną zdolność wpływania na otoczenie. Od czasów beztraskiej młodości w tak przemyślany i gwałtowny sposób odpowiadał na pytania swojej epoki, że jego wypowiedzi miały konsystencję, wagę i znaczenie, a sposób zachowania stał się miarodajnym punktem oparcia w oczach wielu Polaków i zagranicznych przyjaciół, do których mam szczęście się zaliczać. W im bardziej rozrywkowy sposób o czymś mówi, tym poważniej o tym myśli. Potężny głos, zaraźliwy uśmiech i szczerzy uścisk. Z zainteresowaniem jeździ po świecie, opowiada, pije, jedzie dalej. Wszyscy proszą go do stołu, nie szkodzi, że oprócz języka ojczystego zna raczej tylko francuski. Mimo jęknięcia się i pewnych błędów potrafi wyrazić w nim wszystko, w dodatku w stonowany sposób. Wszędzie tam, gdzie się pojawia, coś się dzieje, wszyscy lgną do niego jak ćmy do światła lub pszczoły do konfitury z brzoskwiń. Jako młody mistrz politycznego eseju w końcu lat siedemdziesiątych wypracował z przyjaciółmi najskuteczniejszą strategię środkowoeuropejskiego ruchu demokratycznego, która – w przeciwieństwie do roku 1968 w Czechosłowacji – nie domagała się dokonania rewizji wewnątrz doktryny państwowej, ale obiektywnego i krytycznego spojrzenia na system, w miarę możliwości z niezależnego punktu widzenia. Innymi słowy, nie żądała grupowania się w ramach partii, ale utworzenia zewnętrznego społeczeństwa obywatelskiego, w miarę możliwości legalnego, a jeśli nie, to działającego w podziemiu. Lecz w przeciwieństwie do innych światowych ruchów opozycyjnych ten nie posłużył się nawet rewolwerem. Tylko słowo, słowo, słowo, którego fala stopniowo i wytrwale podmywa mury.

Na jednym z nielegalnych spotkań w warszawskiej kawiarni Krokodyl byłem może dziesiątym gościem, którego wchodząc od wejścia, przytulił Adam. Przywoływali go zewsząd, taka była wielka konspiracja. Zauważyłem, że opinie pana Michnika podzielało wiele osób. Jeśli na poranny spacer wybierałem Nowy Świat, w ręce każdego wyglądającego na wykształconego człowieka widziałem gazetę, której on jest redaktorem naczelnym i która jest najbardziej wymagającym i wydawanym w największym nakładzie dziennikiem. Droga Adama była prosta, robił to, co podpowiadało mu sumienie, bez wahania polegał na swojej intuicji. Burzliwe okoliczności nie mogły powstrzymać go przed niczym. Tuż przed wspomnianym spotkaniem został akurat wypuszczony z milicyjnego aresztu. *Ile razy byłeś zatrzymany?* – zapytałem go. *Czterdzieści pięć razy*, odpowiedział szelmowsko Adam i za wspianą uznał sytuację, w której tak ładnie zielenieją sadzonki wolności. Przez myśl mu nie przeszło, by wyjechać z Warszawy. Po latach nie miał też zamiaru wybierać emigracji zamiast więzienia. Ma co robić w ojczyźnie. Czysto i bez rozlewu krwi doprowadzić z przyjaciółmi do zmiany ustroju. Nie tak dawno zaprosił znajomych i kolegów z redakcji na obiad na stadion piłkarski, który cały zastawiono stołami. Było niemal dwa tysiące gości, a on podchodził do każdego. Jako gospodarz z uwagą i pogodą ducha dbał o dobry nastrój. Według László Rajka⁸ jeszcze miał na sobie

⁸ László Rajk (ur. 1949) – węgierski architekt, członek ruchu awangardowego, od 1975 roku działacz opozycji, od 1981 roku wydawca samizdatów, w latach 1990–1996 poseł Związku Wolnych Demokratów.

krawat. Wiele lat wcześniej, na światowym kongresie PEN-u, na wniosek Adama za-
planowaliśmy, że zorganizujemy sympozjum *Des esprits maudits d'Europe Central*, po-
święcone wyklętym duchom naszego regionu – wielkim artystom, poetom, myślicielom,
których złamały nasze czasy. Co się tego tyczy, Adama również konsekwentnie gnębiły
jego czasy, ale złamać nie potrafiły, jego silnej chęci do życia nawet sześćdziesięciu
sześcioro diabłów nie potrafiłoby osłabić. Wystuchałyby go cierpliwie, napityby się za jego
zdrowie, po czym oddaliły na swoje miejsce.

Miałem sposobność poznać jeszcze inny polski rekord ochoty do życia, którego
wspaniałym, donośnym śmiechem i błyskotliwymi monologami mogłem rozkoszować
się w formie koncertu. Było to w trakcie jednego roku akademickiego, kiedy dzieliłiśmy
sufit (bo wraz z żoną mieszkali nad nami), oraz później, dwadzieścia lat temu, z okazji
wspólnych posiłków przy naszym stole w berlińskim Wissenschaftskolleg, dokąd jesienią
1982 roku Władysław Bartoszewski przybył bezpośrednio z obozu dla internowanych.
Pozbawienie wolności pewnie nie było dlań niczym nowym. Podczas wojny, za młodu,
jako aktywista polskiego podziemia był więźniem Auschwitz, a po zwolnieniu z obo-
zu działał jako łącznik między Armią Krajową a ruchem oporu w getcie. W okresie
stalinowskim doświadczył długiego pobytu w więzieniu, później był nauczycielem aka-
demickim na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, lecz po wprowadzeniu stanu wojen-
nego znów został internowany. Jego fundamentalne prace o polskim ruchu oporu i war-
szawskim getcie są klasycznymi tekstami literatury historycznej, których bogaty materiał
jest uwiarygodniony przez osobiste doświadczenie. Humor i dystans do siebie sprawiły,
że monologi tego temperamentnego mężczyzny wzbudziły moją całkowitą sympatię.
Wskakiwał i zeskakiwał z krzesła, kiedy to, co miał do powiedzenia, wprawiało w ruch
jego całe ciało. Czasem swoją miłą, lubiącą uciąć sobie drzemkę małżonkę wybudzał
lucyferskim śmiechem. Całkiem uważnie śledziłem poczynania profesora Bartoszewskie-
go jako dziekana wiedeńskiego wydziału dyplomacji, wokół którego skupiało się naj-
więcej rozrywki, a kiedy później miałem okazję przeprowadzić z nim, wówczas ministrem
spraw zagranicznych Polski, szybką rozmowę, czułem, że ten człowiek jest niezmiennie
tym samym, wspaniałym egzemplarzem, zawsze *en garde* i zawsze przygotowanym
na to, by wprawić słuchaczy w zadumę lub ich rozśmieszyć. Kiedy pomyślę o eksplozji
jego wesołego usposobienia, natężonym wydzźwięku spółgłosek wypowiedzianych umię-
śnioną szczęką, serdecznym i rycerskim zachowaniu wobec kobiet, to wiem z pewnością,
że gdzieś, kiedyś jeszcze się spotkamy.

*

Kaleczę różne języki, jedynie po węgiersku mówię należycie. Tego, że jestem węgier-
skim pisarzem, nie może zmienić żadna urzędowa decyzja ani punkt zwrotny w życiorysie.
Moi zmarli goście odradzają mi wyjazd. Pogrzebani przodkowie wyciągają spod ziemi
ręce i chwytają mnie za kostkę. Zostań, mówi mój ojciec. Wypełnij tradycję. Zadaniem
jest to, kim jesteś. Mąż i ojciec niech będzie mężem i ojcem. Tata zwykł mnie odwiedzać

w czarnym kapeluszu i o lasce. Słowa szanuje tym, że rzadko je wypowiada. Zaprosił mnie na kolację, a biorąc pod uwagę, że od dawna nie żyje, jest to co najmniej dziwne. Najprościej z danej nam rodziny uczynić tę wybraną. Wreszcie nie dziwi wcale, że ojciec radzi swojemu synowi, by założył rodzinę. Lubię różne kościoły, ale żadnego z nich nie potrzebuję. W kawiarni różowy marmur, żyrandol wenecki z całą masą zbędnych szklanych wisiorów. Wracam z międzynarodowej konferencji, choć z błędami, mówiłem porywająco w kilku językach, później w kreolskiej restauracji przy stoliku w rogu sali nie zachowałem umiaru w jedzeniu i w picu. Chwilę wcześniej jeszcze gołe, białe ściany, wszyscy mężczyźni w ciemności, po moim odczycie przechodzą do sali bankietowej, gdzie na ścianie wiszą jeden obok drugiego władcy z budzącymi postrach mieczami i wąsami. Stoły uginają się pod ciężarem mięsa i wędlin. Wczoraj o odmienioną rolę pisarza indagowała pewna bystra dziennikarka, która moje naiwne odpowiedzi traktowała z pewną dozą ironii. Unikałem ogólników, co ją drażniło. Co łączy nas na światowym kongresie PEN Clubu? Przyjeżdżamy z ponad stu krajów świata i reprezentujemy chyba jeszcze więcej kultur. Ilu uczestników, tyle możliwości odseparowania się, a jednak potrafimy dojść do porozumienia. Kiedy meldowaliśmy się w hotelu, naszym bagażem była jeszcze literatura narodowa. Teraz, kiedy jesteśmy razem, jesteśmy literaturą światową.

Na konferencji prasowej udzieliłem całkiem błyskotliwych odpowiedzi na zwyczajowe pytania, teraz jestem starszym panem, zakatarzonym, samotnym mężczyzną, który posuwistym krokiem wraca do domu. Słońce grzeje przez szybę moją twarz, pociąg dotacza się powoli do stacji granicznej. Spokojni kontrolerzy w czapkach z daszkiem sprawdzają mój paszport, strażnicy noszą przy sobie broń, ale nie jeżdżą kłusem, już nie służą w zielonych barwach wojennych, ale są przyodziani w europejski granat. Świeci słońce, pociąg cicho mknie po torach, mógłbym co godzinę stwierdzać z entuzjazmem, że jeszcze żyję. Z człowieka pozostaje kilka liter i cyfr, napis na nagrobku, monogram wyryty paznokciem na ceglanej ścianie obozowego baraku, taki sam, jaki szwaczka wyszyła kiedyś na moich koszulach. Człowiek miał imię, nie ma imienia, duża, mokra gąbka zmyła je z tablicy. Wszystko, co mówi, to domysł, świtanie, grudka wspomnienia, samolotik z papieru. Staje na krześle i puszcza go na wiatr.

*

Jestem wolnym obywatelem, członkiem inteligencji i chcę nim pozostać. W mojej rzeczywistej materii pragnę niezależności względem innych, części której mogą zrzec się na rzecz najmłodszego dziecka. Dyskusje prowadzę na równi z innymi, nie wchodzę w rolę arystokraty ani chłopca pańszczyźnianego. Radykalizm robotniczy był obietnicą bez pokrycia: jesteśmy niczym, będziemy wszystkim. Nie będą wszystkim, nie będą klasą przewodnią, mogą być drobną klasą średnią. Robotnik może być traktowany jako intelektualista, to normalne i słuszne podejście. Chcieć wszystko znaczy mniej więcej tyle, co zrezygnować z tego, co możliwe do osiągnięcia. Tłum nie może trafić z dołu na sam szczyt, co najwyżej na środek. Naszym osiągalnym celem jest zbudować obywatelskie stosunki,

zgodne z prawem stosunki wymiany opierające się na politycznym równouprawnieniu. Dopóki tylko jedna partia spełnia kierowniczą funkcję, a jej członkowie mają przywileje kierownictwa, dopóty nie istnieje polityczna równość. Przez stosunki obywatelskie rozumie się liberalną demokrację. Nie oczekuję od nikogo pełnego zrozumienia. Mało prawdopodobne, by czytelnik zrozumiał moje teksty tak samo jak ja. Moje antypolityczne eseje można traktować jako autoegzorcyzmy. Domowa apteka pacjenta cierpiącego na pewną wschodnioeuropejską chorobę stanową.

*

Bądź odpowiedzialny za swoje myśli jak uczciwy rzemieślnik za swoją pracę. Wśród inteligentnych ludzi nie mogą panoszyć się dziennikarskie nieporozumienia. Interes to nie wszystko, widzieliśmy potężną siłę religii i wyznań, człowiek jest skłonny zrezygnować z różnych korzyści. Czy istnieje autonomia bez ofiary? Wszyscy szukają dla siebie pozycji ofiary. Za europejską uważam tę arogancką mądrość, wewnętrzną znajomość antynomii, która nie hołduje żadnej ludzkiej instytucji, choć szanuje zgromadzoną przez nie wiedzę. Spisek europejskich zuchalców jest raczej sztubacki niż mentorski. Ta arogancka mądrość jest zawsze pluralistyczna, nigdy dualistyczna. Nie chce dzielić świata na czarne i białe. Dualizm sprzyja sędziom i politykom, ale nie jest chlebem dla pisarzy. Zawsze buntowaliśmy się przeciw temu, że wszystko musimy rozpatrywać jako poprawne lub nie, cnotliwe lub grzeszne. Od samego początku sprzeciwialiśmy się przemocy ograniczonych umysłów. Bal nie polega na tym, że po jednej stronie stoją piękni, a po drugiej brzydki. Przyjaciół nie wybieramy według partyjnych sympatii. Kto potrafi przyjaźnić się tylko z tymi, którzy podzielają jego opinie, lepiej niech uda się do psychiatry. Nasze aktualne, wypracowane przed laty ideologie są podagryczne i trzeszczą od miażdżycy. Jeszcze nie całkiem widać, kto występuje z naprawdę nową propozycją. Jeśli spoglądamy na mapę europejskiej kultury, ogarnia nas jakieś puste przecucie. A jednak podejrzewam, że z końcem stulecia dojdzie do nawiązania europlanetarnego dialogu. Z czym my, środkowowschodni Europejczycy, możemy przystąpić do tej międzynarodowej dyskusji? Z tym, że też jesteśmy zachodni, a równocześnie żyjemy na Wschodzie i mamy w sobie coś z barbarzyńców.

*

Za granicą ciesz się mnie, że nie jestem uwikłany egzystencjalnie w miejscowe stosunki. Jestem mniej stronnicy, z uśmiechem, o! dla zabawy przytaczam argumenty, jeśli ktoś mówi coś sprzecznego z moją opinią, interesuje mnie jego sposób myślenia. Na Węgrzech łatwiej popadam w złość lub tracę humor. W ojczyźnie kusi człowieka rola solisty w gminie wyznaniowej. Metafora pasterza i stada. Ostroga kłująca państwo. Awangarda, zawodowy sportowiec, wodzirej, mistrz otoczony uczniami, charyzmatyczny zarozumialec. Ilu jest takich! Później odchodzą, odbywa się pogrzeb i odczuwamy ból po ich stracie. Za granicą tylko dwa razy byłem na pogrzebie, na pierwszym żegnaniem niemieckiego pisarza Heinera Müllera, na drugim holenderskiego wydawcę Roba van Gennepa. Obydwa byli moimi przyjaciółmi. Na Węgrzech co tydzień mógłbym chodzić na czyjś pogrzeb.

*

Spraw, które przykuwają uwagę publiczną, nie warto mieć zbyt długo na względzie. Kalligaro w 1995 roku również żyje na marginesie, bo o wpół do dwunastej ogląda w ogrodzie grzyba, co prawda o dość dziwnym cielesnym kolorze. Puste huśtawki kąpią się w złotym słońcu. Jeszcze prowadzą go nogi, taka jest rzeczywistość, żadnego utra-
 pienia. Co jest sekretem wiejskiego życia? Względny brak wymagań. Ludzie nie pragną tego, czego nie mogą osiągnąć. Bardzo długo doceniają i szanują te same rzeczy. Kalligaro ćwiczy tu życie bez domagania się czegokolwiek, zakłada znoszoną parę spodni i butów, nie prasuje, ale co dzień nosi świeżą koszulę, nie potrzebuje krawatu, przestał też jadać mięso. Więcej nie trzeba, mówi sposób zachowania miejscowych starców. Dobrze, że jest tu jeszcze ziemia, po której człowiek może lekko stąpać, dobrze, że te polne i leśne drogi nie są jeszcze pokryte asfaltem. Odsuńmy się od siebie nieco bardziej. W tym kraju jest jeszcze sporo miejsca. Człowiek może znaleźć sobie taki dom, który jest w sąsiedztwie lasu czy pola, blisko rzeki, jeziora czy choćby małego stawu. To jeszcze niezniszczona i niezabudowana okolica. To odosobnienie jest naszym skarbem, nie trzeba powtarzać kolejno błędów Zachodu. Jak anarchista, w tajemnicy i z pewnością siebie przyglądam się większości spraw, które moi zachodni przyjaciele uważają za ważne. Nie pozwala-
 łem sobie na luksus, można powiedzieć, że niczego nie mam. Chciałbym, by chwila trwała wiecznie. Dobrze jest żyć, szczególnie, gdy nic nie przeszkadza naszemu istnieniu i nie trzeba się bać, że nas pożrą. W moim sąsiedztwie żyją biedni i niewymagający ludzie. Do domu, który stoi otworem, zagląda Vera, przyniosła szarlotkę z makiem i ciężkie pakunki. Przychodzi Teri, chciałaby zatelefonować w sprawie pracy przy winobraniu dla swojej córki. Wchodzą, wychodzą, zawsze taktowni. Na łące, na wzgórzu uczę się popołudniowego, słonecznego spokoju. Kiedy myślę o szczęściu, przychodzi mi na myśl wspomnienie z dzieciństwa: polana w lesie, brzeg wody, korony drzew, niebo, dzikie kwiaty. Mógłbym zaakceptować drobne, delikatne zmiany w krajobrazie, więcej nie trzeba, jest pięknie tak, jak jest.



Ekslibris Josepha Smitha, autor nieznan, miedzioryt, przed 1740; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner